Paweł Maćkowiak

Nic nie dzieje się bez przyczyny

Nastał wieczór, wszyscy mieszczanie nagle zaczęli szybciej się poruszać, jakby gdzieś się spieszyli, rodzice ciągnęli dzieci, którym jakoś wcale nie przeszkadzało to, że zaczyna się robić ciemno, przechodnie spacerujący jeszcze przed chwilą wolnym, statecznym krokiem, jak na komendę przestali się rozglądać i spieszyli w bliżej nieznanym celu. Ulice zaczynały pustoszeć wprost proporcjonalnie do zapadającej ciemności, trzaskały drzwi domostw i wszędzie zaczynało tlić się światło. Nieliczni mieszkańcy, którzy jeszcze byli na zewnątrz, czym prędzej pospieszyli do domów z zupełnie nieznanych powodów. Przecież jesienny, w dodatku ciepły wieczór to nic strasznego. I na pewno nie jest to powód do tego, żeby miasto wręcz wymierało. A może ci ludzie faktycznie wolą spędzać ostatnie, ciepłe dni w świetle domowego ogniska. Nie wiadomo. Ludzi naprawdę czasami trudno jest zrozumieć. Tylko jeden starszy pan został , niczym się nie przejmował, spacerował po starej, pokrytej mchem kostce brukowej ulicy Przydwornej. To jemu właśnie z pięknie zdobionego, szerokiego pałacowego okna przyglądała się Izabela. Zaintrygował ją ten człowiek, ponieważ patrząc na ten bezsensowny, owczy pęd wszystkich ludzi, nie rozumiała dlaczego ten starszy pan temu nie ulega. Mogła jedynie spekulować, czy to przez emanujące od niego doświadczenie życiowe, może ów człowiek w tej chwili coś tworzy, rozmyśla nad czymś przełomowym albo zwyczajnie delektuje się pięknem jesiennego, białostockiego wieczoru, którego większość nie doceniła. Izabela nie wiedziała, co myśleć o tym człowieku. W jej pałacowym ogrodzie nie było takich ludzi. W ogóle w całym pałacu nie było takiego człowieka. Nikt po prostu nie patrzył w niebo, tak jak ten pan pod murkiem odgradzającym dwór od reszty miasta. Jedni dworzanie pracowali posłusznie, nawet nie podnosząc głowy, strzygli trawniki, przycinali żywopłoty, zamiatali dziedziniec albo gotowali, odpowiadając tylko na „Dzień dobry”. Drudzy zaś zawsze służyli dobrą radą, biegali z komnaty do komnaty, podając nowe suknie i zachwalając absolutnie wszystko, co tylko błyszczało, bądź mogło im przynieść zysk. Sypali komplementami bez ustanku, wyczekując tylko na uśmiech, który uspakajał ich, ponieważ zapewniał im, przynajmniej przez jakiś czas, wygodną dobrze płatną posadę. Izabela miała ich wszystkich dosyć. Jak wychodziła na spacer to tylko po długim strojeniu się, z parasolką i licznym gronem służących. Teraz też nie mogła wyjść, gdyż czekała na Elizę, jej pokojówkę, ponieważ ta miała rozsznurować jej gorset. Od rozmyślania oderwał Izabelę zgrzyt zawiasów

w ciężkich, bogato zdobionych, hebanowych drzwiach, oddzielających jej komnatę od reszty pałacu, który mimo położenia w niezbyt dużym mieście swoją okazałością dorównywał posiadłościom najbogatszych ludzi w całej Europie. Gzymsy, sztukaterie, płaskorzeźby, przeróżne posągi, obrazy czy freski, wszystko to czyniło go obiektem, który we wszystkich budził zarówno podziw jak i zazdrość. Weszła Eliza trzymająca atłasową koszulę nocną, odłożyła ją na ciężkie hebanowe krzesło, które przyjemnie kontrastowało z dość jasnym wystrojem pokoju. Służąca przystąpiła do standardowych wieczornych czynności, które Izabela co prawda mogła wykonać sama, ale nie pozwalała jej na to etykieta. Eliza kolejno rozsznurowała i zdjęła jej ciasny, atłasowy gorset, zmyła makijaż, przebrała w koszulę nocną, nałożyła jej maseczkę, która podobno miała poprawiać cerę i kłaniając się nisko wyszła bez słowa. Kiedy trzasnęły zamykane drzwi, Izabela znów podeszła do okna, wypatrując człowieka, który jeszcze przed chwilą stał zamyślony pod pałacowym murem. Stał tam w dalszym ciągu, z tą różnicą, że oparł się o lekko zardzewiałą latarnię, w której tlił się niewyraźny płomyk rzucający przyjemne, ciepłe światło na starą, pomarszczoną twarz tego człowieka. Ów jegomość spoglądał dalej w górę, lekko mrużąc zmęczone oczy, jakby czegoś szukał. Jego zadbana, średniej długości siwa broda lekko falowała na jesiennym wietrze. Mimo sędziwego wieku postura tego człowieka nie wyglądała na kruchą, zgarbioną i chudą jak to zwykle u starych ludzi bywa, a wręcz przeciwnie ten sędziwy pan był rozbudowany w ramionach i w dodatku z niemałą masą mięśniową. Izabela zaczęła się zastanawiać, czy to czasem nie jest jakiś emerytowany wojskowy albo może sportowiec lub też zwyczajny, dbający o siebie mimo wieku, mężczyzna. Ten człowiek zaintrygował Izabelę tak mocno, iż podjęła decyzję o tym, że mimo wszystkich zakazów zejdzie do niego. Niestety nie było to łatwe. Po korytarzach chodziły przeróżne osoby: służący, lokaje, stróże, a do tego przy wejściu był jeszcze odźwierny. Nie miała czasu. Przecież nieznajomy mógł lada chwila się oddalić. Musiała działać. Weszła do łazienki połączonej bezpośrednio z jej komnatą, zmyła maseczkę, oparła się o ścianę, żeby zebrać myśli i zaplanować wydostanie się z pałacu. Po krótkim czasie rozmyślania Izabela uchyliła swoje ciężkie drzwi najwolniej jak mogła, żeby tylko nie zaskrzypiały. Jakaż była jej radość kiedy zobaczyła, że korytarz świeci pustką. Nałożyła swoje pantofelki i wyszła z pokoju, zamykając drzwi najciszej jak mogła. Przejście przez korytarz i schody nie stanowiło dla niej żadnego problemu, ponieważ nie było tam żywej duszy. Niestety przy drzwiach pojawił się kłopot, a był nim odźwierny. Izabela schowała się za jednym z wielu bogato zdobionych filarów, lustrując ostrożnie wzrokiem odźwiernego. Z początku wydawało się, że dozorca stoi i pilnuje wyjścia, ale kiedy Izabela

zmrużyła oczy i dokładnie się przyjrzała, okazało się, że odźwierny zwyczajnie śpi na stojąco. Podbiegła do niego na palcach, rozchyliła poły jego płaszcza szukając wzrokiem kluczy i pilnując, żeby dozorca się nie zbudził. Klucze były przypięte do tylnej części jego paska. Izabela wyciągnęła rękę w ich kierunku i kiedy odpinała jeden z kluczy, cały pęk upadł na podłogę uderzając o nią głośno. Izabela zdenerwowanym wzrokiem popatrzyła na dozorcę, którego reakcją na zaistniałą sytuację było jedynie to, że zaczął głośniej chrapać. Kobieta wziąwszy właściwy klucz, bezproblemowo otworzyła okazałe drzwi frontowe. Ogarnęła jeszcze wzrokiem cały hol razem ze śpiącym odźwiernym i z uśmiechem na twarzy pobiegła na spotkanie z nieznajomym. Biegła po usypanej ozdobnymi kamieniami ścieżce w kierunku bramy, za którą czekał obiekt zainteresowania. Czuła, ze ma gęsią skórkę, bo w końcu jest późny, jesienny wieczór, a ona wyszła w samej koszuli nocnej i pantofelkach. Mimo że było zimno, czuła, że dreszcz przechodzi ją nie tylko z tego powodu. Przecież idzie na spotkanie z nieznajomym, który może się okazać chociażby przestępcą. Jednak biegnąc tak, nie czuła strachu. Po prostu wiedziała, że musi porozmawiać z tym człowiekiem. Co prawda przyczyny tej nagłej chęci rozmowy nie umiała do końca logicznie wyjaśnić, chociaż podejrzewała że ta potrzeba może wynikać z tego, że w tym dostojnym pałacowym wystawnym pełnym przepychu i luksusu życiu jest odcięta od normalnych ludzi. Stanęła przed bramą, wyjęła klucz, który zabrała odźwiernemu i włożyła go do wielkiego mosiężnego zamka i przekręciła. Rozległ się głośny szczęk. W obawie przed tym, że ktoś to usłyszy, Izabela nerwowo odwróciła głowę w stronę pałacu. Na szczęście dwór był pogrążony we śnie i najwyraźniej nikt nie usłyszał dźwięku otwieranej bramy. Wyszła na chodnik. Przy latarni stał odwrócony plecami, niewzruszony jegomość. Wpatrywał się dalej w niebo.

– Dobry wieczór – powiedziała Izabela.

Człowiek nie zareagował. Podeszła bliżej.

– Dobry wieczór – powtórzyła raz jeszcze. Jegomość powoli odwrócił się i popatrzył na nią ciepłym wzrokiem.

– Dobry wieczór – odpowiedział. Po czym dalej patrzył w swoją stronę.

– Kim pan jest ? – zapytała szybko, nieco nerwowo Izabela. Czuła, że nie umiała rozmawiać z ludźmi spoza dworu.

– Aktualnie? – odparł jegomość patrząc dalej w gwiazdy. – Jestem bezdomny – zakończył krótko.

Izabela zrobiła wielkie oczy. Na szczęście ów pan tego nie zauważył. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z bezdomnym. Nie wiedziała, co ma robić. Zaczęła myśleć i stwierdziła, że skoro jest bezdomny to pewnie i głodny.
– Może by pan wszedł ze mną do środka – zaproponowała. – Spróbuję znaleźć panu coś do jedzenia.
Jegomość tym razem obrócił się.
– Z przyjemnością coś zjem – odrzekł – ale nie potrzebuję niczyjej łaski. Poradzę sobie.
Izabela nie do końca go rozumiejąc, po prostu machnęła ręką w geście zapraszającym go do środka. Weszli przez bramę. Izabela prowadziła go najpierw przez usypaną kamieniami ścieżkę. Potem obok śpiącego dozorcy przez pałacowe korytarze, gdzie także nie było żywej duszy. I w końcu doszli do jadalni. Mężczyzna bezceremonialnie usiadł na jednym z krzeseł z wyraźną ulgą na twarzy. Izabela poczęstowała go zupą. Nieznajomy od razu zaczął jeść, patrząc tylko w talerz i zupełnie ignorując kobietę. Kiedy gość skończył, Izabela zasiadła w krześle naprzeciwko niego i zaczęła z nim rozmawiać. Dyskutowali bardzo długo na przeróżne tematy. W jednym momencie słuchali siebie z uwagą, a w drugim szczerze się śmiali. Rozmowa układała się im wybornie. Izabela dowiedziała się na temat jegomościa wielu interesujących rzeczy, między innymi tego że jest weteranem i nazywa się Fryderyk. Izabela słuchała zafascynowana opowieści o bitwach na przeróżnych frontach. Czuła ,że takiej zwyczajnej rozmowy właśnie było jej trzeba. Zastanawiała się nawet, czy nie zaoferować Fryderykowi osobnej komnaty po to, aby w pałacu była chociaż jedna osoba nie kierująca się utrzymaniem miejsca pracy i mogąca z nią zwyczajnie porozmawiać. Niestety szybko porzuciła te plany i wróciła do rzeczywistości, ponieważ wiedziała, że nikt z mieszkających tutaj nie zgodzi się ,żeby ubrany niedbale, bez błękitnej krwi człowiek zamieszkał sobie tutaj. Nagle Fryderyk zamilknął. Skierował wzrok w stronę drzwi od jadalni. Izabela także utkwiła wzrok w tym samym punkcie, co jej gość, czyli na klamce, która w tym momencie się poruszyła. Otworzyły się drzwi, w których stał mąż Izabeli – Jan Klemens Branicki. Mimo że był w tej chwili w swoim wykwintnym stroju do spania i z rozczochraną czupryną siwych włosów widać było, że jest jedną z ważniejszych osób w kraju. Widząc nieznajomego wpadł w słowotok, zaczął szybko coś mówić, wykrzykiwać, aż nagle umilkł. Izabela i Fryderyk patrzyli na niego, nie ruszając się nawet o milimetr. Nastała cisza, którą nagle przerwał głośny krzyk.
– Straż!

Wbiegło dwóch rosłych osiłków, przy których były żołnierz faktycznie wyglądał na starego człowieka. Podeszli do niego i mimo że nieznajomy się nie opierał, siłą wyrzucili go za bramę. Izabela w ogóle nie mogła zrozumieć takiego postępowania, więc pobiegła do swojej komnaty, stanęła w oknie i szukała wzrokiem pośród ciemnej nocy jedynej szczerej osoby, jaką w życiu spotkała. Nie wiedziała dlaczego tacy zadufani w sobie służący, ubrani w wykwintne stroje uważają się za lepszych od Fryderyka.

– Muszę wybudować dom dla bezdomnych weteranów – wyszeptała, leżąc już w łóżku – a zupy w pałacowej kuchni też nie powinno zabraknąć. To będzie moje urodzinowe życzenie.

Ta światła myśl, która być może odmieni jej życie, uczyni je użytecznym, podniosła jej nastrój i Izabela Branicka zasnęła z uśmiechem na ustach.